

Ważne rozmowy do góry nogami

Wymagano, abym mówiła ładnie. Bardzo ważna była modulacja głosu. Na pytania trzeba było odpowiedzieć słowem lub zdaniem, a nie jakimś nieartykułowanym mruknięciem. Ta zasada obowiązywała wszędzie w czasach mojego dzieciństwa

WSPANIAŁE, bo wychowywano! Bardzo starannie. Bardzo wnikliwie, drobiazgowo. Nie istniał stan bezmyślności! A tym bardziej nudy. Odkąd sięgam pamięcią – a okazało się, że sięgam do bardzo wczesnego dzieciństwa, kiedy miałam niecałe dwa lata – dokładnie wiedziałam, że jestem obserwowana. Potem oceniana za moje zachowanie, na które składało się: chodzenie, siedzenie, stanie, bieganie, jedzenie i mówienie. Te dwie ostatnie funkcje były pod szczególnym nadzorem. Zwłaszcza mówienie. Nie tylko, Co chciałabym powiedzieć – ale Jak to powiedzieć.

Cała moja rodzina była umuzykalniona i przez to specjalnie wrażliwa na dźwięki, także dźwięki mowy: starsza siostra po konserwatorium, Matka obdarzona tzw. słuchem absolutnym, co pozwoliło Jej grać koncertowo na skrzypcach – Jej temperament muzyczny przy grze na fortepianie określany był „uderzeniem męskiej ręki”. Ślicznie śpiewała.

Śpiewała i... patrzyła. Patrzyła, czy słucham i czy umiem powtórzyć za Nią. Patrzyła zawsze i wszędzie. Patrzeniem, a nie słowem zwracała mi uwagę na niestosowną pozę, siedzącą lub stojącą – zwłaszcza przy osobach obcych, czyli w miejscach publicznych. W kościele patrzyła na mnie kątem oka, prawie nie odwracając głowy. Jednym słowem, byłam zawsze obserwowana. Wyrobiło to we mnie wspaniałą cechę samokontroli. Na całe życie. Zwłaszcza życie zawodowe. Bezcenny skarb.

Barbara Krafftówna



Czułość Matki w przestrzeganiu zasad dobrego wychowania nie oznaczała bynajmniej ograniczeń dziecięcej fantazji, zakazu szaleńczych zabaw. To była domena Ojca. Życie z Nim było trochę bajkowe. To on rozwijał moją wyobraźnię, w codzienność wprowadzał postaci z książek, tłumaczył, że świat jest pełen dobrych duchów i aniołów, na których pomoc można liczyć. Dał mi podstawę do optymistycznego patrzenia na życie.

Pamiętam, jak kiedyś zbudowaliśmy razem salę tronową w Jego gabinecie. Ojciec był architektem. Tron stanął na potężnym biurku. Z innych mebli zrobiliśmy schody do tronu. Pokryły je dywany zdjęte ze ścian – dywanów podłogowych w domu nie używano. Ojciec był moim wiernym poddanym – ja oczywiście królową. Tak potężna inscenizacja trwała kilka dni – po czym życie wracało do normy. Ani wtedy,

ani później nie spotkałam dziecka, któremu pozwolono by tak „przewracać dom do góry nogami”.

I stać do góry nogami. To była moja ukochana pozycja. Do stania na głowie służyła kanapa. Rozbieg brałam z przedpokoju. Stawałam w tej pozycji często i stałam długo. Chciałam osiągnąć rekord czasowy. Pozycja ta nie przeszkadzała w prowadzeniu rozmów. Wielką sztuką było tylko nie przyciąć sobie języka i nie seplenić. A wtedy naprawdę rozmawiało się stale i o wszystkim. Istniała nieustanna potrzeba komentowania rzeczywistości. Było też wiele okazji do rozmów: przy klejeniu ozdóbek choinkowych, zdobieniu mazurków. Otaczał mnie bowiem świat pięknych tradycji i eleganckich form – świat, który niespodziewanie zniszczyła wojna.

Trudno dziś, w dobie telewizorów i komputerów, coraz słabszych więzi rodzinnych, odnaleźć jego ślad.